Przegrani zwycięzcy

Krzysztof Kasprzyk *(Kanada)*

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba

Podnoszą z ziemi przez uszanowanie

Dla darów Nieba….

Tęskno mi, Panie…

C.K. Norwid „Moja piosnka”

Od momentu wyjazdu z Polski, co pewien czas zastanawiałem się nad znaczeniem tych słów. Dla mnie, dla moich rodziców, dla dziadków, którzy żyli jeszcze pod zaborami. I dla Norwida, dla tamtego pokolenia pierwszej Wielkiej Emigracji.

Zastanawiałem się także nad zabiegiem naginania i dostosowywania takich słów do określonego, historycznego

kontekstu. Przede wszystkim za niosącymi się w nich emocjami, myślami, tęsknotami. Rozważaniami o patriotyzmie, obowiązku, powinności. Wiem dziś z całym przekonaniem, że w stosunku do moich rodziców czy dziadków, wiele tych emocji dla mnie wyblakło, zmieniło sens i znaczenie.

Po roku 1981 byłem emigrantem. Po roku 1989 mam wewnętrzny sprzeciw wobec tego określenia. Wolę osiedleniec – osiedliłem się w Kanadzie, gdzie żyję już dłużej niż w Polsce. Nigdy nie byłem rozdarty pomiędzy Polską a Kanadą, a od kiedy zacząłem siedem lat temu przemieszkiwać w argentyńskiej Patagonii, poczułem się obywatelem świata. Osadzonym w polskim języku, polskiej kulturze, tradycji i rodzinnych więzach. W zasadzie nie opuściłem Polski ani jednego dnia, co jeszcze wzmocnione jest mymi corocznymi przyjazdami od 25 lat i pisaniem w polskim języku.

Poczułem, iż mój zasób wolności się powiększył, owo nieskrępowane bycie w tym świecie. Nie tylko Polska stała się otwarta. Także Europa i świat. Mimo wszelakich konfliktów i łajdactw, wojen i innych zbrodni. Wiem, że nie jestem bezmyślnym patriotą, pławiącym się w tak ulubionej przez wielu Polaków obrzędowości i działaniach na pokaz. Tutaj można by powrócić do wiersza Norwida i zacytować jeszcze jedną zwrotkę:

Do bez-tęsknoty i do bez-myślenia,

*Do tych, co mają **tak** za **tak – nie** za **nie**,*

Bez światło-cienia…

Tęskno mi, Panie…

Szkoda, że nie mogę o tym porozmawiać z moimi rodzicami, szczególnie z ojcem, w kolejną rocznicę D-Day, w którym brał udział. Ląduje w Normandii 17 lipca 1944 roku, jako dowódca inwazyjnej jednostki przydzielonej do angielskiej armii – 411 R&SU (*Repair and Salvage Unit* – Jednostka Naprawy i Ratownictwa).

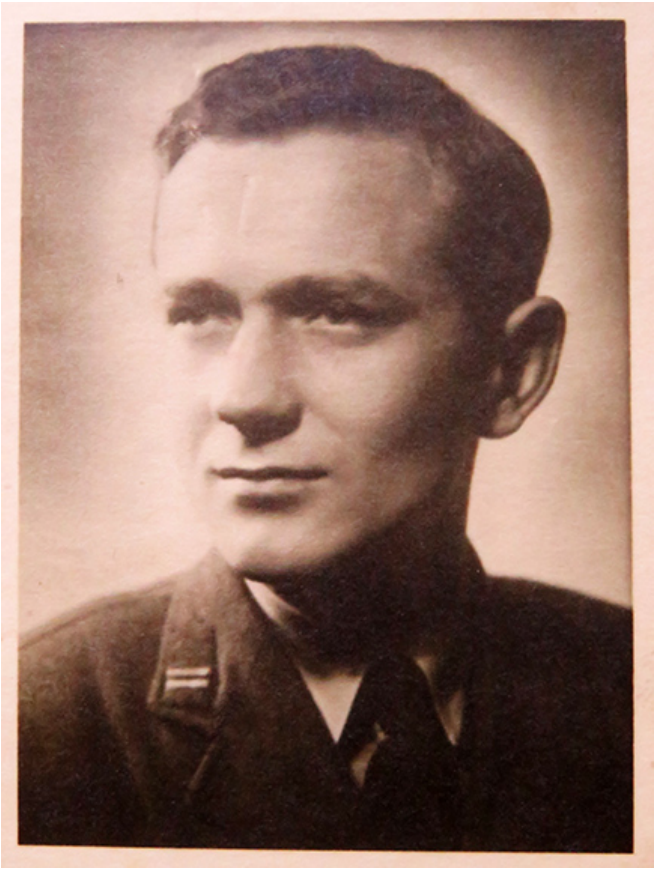

Franciszek Kasprzyk, lotnictwo w Anglii, 1941 r., fot. arch.

autora
Kiedy pasjonowałem się rzeźbieniem pomnika Nieujarzmionego Konia (*Crazy Horse,* a powinno być *Untamed Horse*) w Południowej Dakocie, przez rodzinę Korczaka Ziółkowskiego, odkryłem, że Korczak brał udział w inwazji, jako ochotnik, na plaży Omaha. Mój ojciec obok, na brytyjskiej plaży Gold. Następny, sąsiedzki odcinek to byli Kanadyjczycy na Juno. I jak tu nie wierzyć w przypadki i szczególne znaki (zbieg okoliczności), które tak często przewijają się w moim życiu.

W 1973 roku w Londynie, w przejmująco pustym klubie Polskiego Lotnika, spotkałem jakiegoś starszego pana, który okazał się uczestnikiem II wojny i oficerem łącznikowym przy polskich dywizjonach. Po krótkiej rozmowie i poinformowaniu go, że mój ojciec był w 308 dywizjonie, ów pan zaprosił mnie na drinka i kontynuowaliśmy niemal godzinną pogawędkę po polsku. Okazał się Kanadyjczykiem. W pewnej chwili nagle powiedział: „Niech pan jedzie ze mną do Montrealu. Wszystko panu załatwię bez żadnych problemów". Propozycja kompletnie zbiła mnie z tropu, tym bardziej, że wtedy grzęzłem w skomplikowanej sprawie osobistej i koniecznie chciałem do Polski powrócić. Podziękowałem i odmówiłem. Ten pan okazał się słynnym Elginem Scott'em [**https://www.polishairforce.pl/scott.html**].

Pamiątkowe zdjęcie polskiej jednostki RSU. Ojciec na środku, czwarty od lewej, w pierwszym rzędzie, fot. arch. rodzinne

Niespodziewanie powrócił do mnie, gdy w roku 1979 pracowałem w piśmie „Technika i Gospodarka Morska”. Redakcja mieściła się w nieistniejącym obecnie Wydawnictwie Morskim w Gdańsku. Któregoś dnia, na dnie szuflady mego biurka sekretarza redakcji, znalazłem w maszynopisie, odrzucone przez cenzurę i niewydane, pamiętniki byłego ministra żeglugi i gospodarki wodnej (w latach 1957- 1964), Stanisława Darskiego. Tam opisał historię rodziny Scott’ów, których przodek osiadł w Polsce, w końcu wieku XIX. [**https://pl.wikipedia.org/wiki/Elgin_Scott**] Do dziś żałuje, że tego pamiętnika stamtąd nie zabrałem.

Mimo tego, że od 1984 mieszkałem w Kanadzie i trzykrotnie przejechałem przez Montreal, zapomniałem o istnieniu Scott’a. Ujrzałem go przypadkowo w kanadyjskiej telewizji CBC, gdy z

okazji 50 rocznicy zakończenia II wojny, udzielał wywiadu. Opowiadał o polskich pilotach, o ich odwadze i fantazji. Zmarł w roku 2011 w miasteczku Rowdon koło Montrealu.

*

W zeszłym roku, drugi raz w życiu, porządkowałem rzeczy po śmierci bliskiej osoby z rodziny. Pierwszą, wiele lat temu, była babcia, matka mojej mamy. Ocaliła i przechowała niezwykłe dokumenty, m.in. drukowany na maszynie rozkaz dla mamy, jako sanitariuszki Powstania, z 2 sierpnia 1944, podpisany przez płk. Żywiciela (Mieczysława Niedzielskiego) oraz jej listy z obozu Oberlangen.

Mama (Irena Orłowska) na tarasie przy ul. Krasińskiego w Warszawie z Bobikiem, 1938 lub 1939 r,

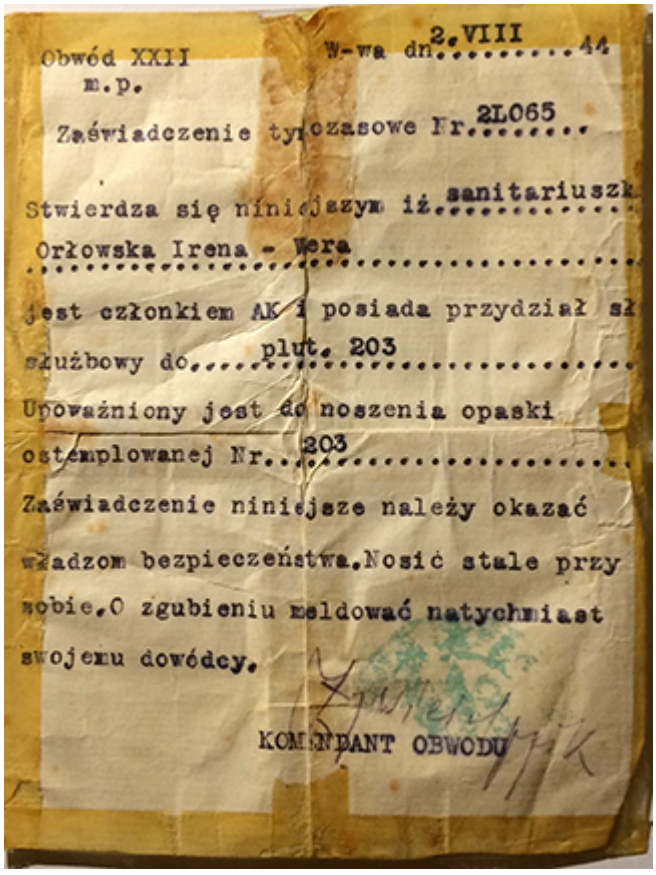

Obwód XXII m.p.

W-wa dn. 2.VIII 44

Zaświadczenie tymczasowe Nr. 2L065

Stwierdza się niniejszym iż sanitariuszka

Orłowska Irena - Wera

jest członkiem AK i posiada przydział służbowy do plut. 203

Upoważniony jest do noszenia opaski ostemplowanej Nr. 203

Zaświadczenie niniejsze należy okazać władzom bezpieczeństwa. Nosić stale przy sobie. O zgubieniu meldować natychmiast swojemu dowódcy.

KOMENDANT OBWODU

Dokument powstańczy mojej mamy

*

Teraz porządkowanie rzeczy po macosze, przebiegało spokojniej. Z mniejszym stresem, a nawet z pewną ekscytacją, bowiem ona starannie przechowała rodzinne pamiątki. Znalazłem tyle dokumentów i zdjęć po mamie i ojcu, że poczułem, iż wreszcie mogę dopełnić ich życie i ocalić przed zapomnieniem. Odkryłem cały szlak bojowy ojca – od opuszczenia Polski w 1939 roku do powrotu w maju 1947 – uzupełniony licznymi szczegółami, odnalezionymi po wielu godzinach buszowania na Internecie.

Trzy lata temu, zająłem się gromadzeniem pamiątek po mamie i

przekazałem je do Muzeum Powstania Warszawskiego. W trakcie żmudnych poszukiwań, odnalazłem dokładną datę i przebieg wyzwolenia jej obozu Oberlangen, gdzie zaczyna się historia rodziców i… moja.

10 październik, 1945 (w rok później będę już na świecie). Na rewersie ozdobna dedykacja – „Swojej małpce Piesek”. Hmmm.. małpka małą literą, a piesek z dużej. Ach, ta jego niezgrabność i szorstkość, z którą potem mogłem często się stykać. Z całych sił bronił się przed wzruszeniami, które poczytywał za słabość. Ja

jestem z tych nieprzytulonych przez ojca, lecz za to umiarkowanie i rozsądnie przez matkę, fot. arch. rodzinne
Usiłuję wyobrazić sobie ten moment, gdy po raz pierwszy skrzyżowały się ich spojrzenia. Jest rok 1945, 13 kwietnia, dzień po wyzwoleniu obozu. Mama, Irena, akurat wyszła z lazaretu obozowego, zgaszona i nieco wynędzniała po traumatycznych przeżyciach w Powstaniu i na skutek warunków w stalagu. Ma 22 lata. Ojciec, Franciszek, sierżant z 308 dywizjonu Krakowskiego. W kwietniu 1945 przekracza granicę Niderlandii i Niemiec natykając się na żołnierzy z dywizji gen. Maczka. Ktoś informuje go, że wczoraj wyzwolili obóz polskich kobiet z Powstania Warszawskiego.

Wskakuje do jeepa i jedzie do obozu. Przystojny chłopak w wojskowym mundurze. Zdziwiłem się i zarazem roześmiałem, gdy znalazłem sporo zdjęć dziewczyn, angielskich i innych, z dedykacjami dla niego. Miał powodzenie. Na wojnie znalazł się w wieku 18 lat. Paradoksalnie, w tak młodym wieku, świat nie tylko całkowicie stanął na głowie, ale się przed nim otworzył. Jest po równie traumatycznych przeżyciach – od początku wojny żadnych wieści o rodzinie, utrata bardzo wielu kolegów i przyjaciół z lotnictwa. Ma 24 lata.

Zgodnie z prawami młodości ojciec także „wojował” na randkach z Angielkami (tzw. Wafkami ; WAAF – The Women’s Auxiliary Air Force – Żeńska Służba Pomocnicza przy RAF). Piknik w roku 1942. Jedna panna spoczywa mu malowniczo na podołku, a inna z wyraźną troską go obejmuje. A on ma minę, tak dobrze znaną mamie i mnie, nieco nachmurzoną, pod tytułem ”no dobra, może być…”, fot. arch. rodzinne

Ten moment… Gdzie się na siebie natknęli? Na obozowym placu czy przed barakiem? Czy ojciec akurat wysiadał z jeepa, czy też już zmierzał na piechotę? Kiedyś ojciec wspomniał, że było późne popołudnie. Lecz dokładnie kiedy i jak wpadli sobie w oko? O czym rozmawiali? Co w sobie wzajemnie zobaczyli? Musiał to być niezły błysk, skoro w trzy dni później, ojciec zabiera mamę z obozu załatwiając jej przydział do swojej jednostki, włącznie z umundurowaniem. W październiku biorą ślub w wojskowej

kaplicy, w niemieckim miasteczku Quakenbrück i tam zmieszkują. Ojciec był vice komendantem miasteczka z ramienia brytyjskiej armii okupacyjnej. I tam się urodziłem, we wrześniu 1946 roku.

Ślub rodziców, Quackenbrück, 27 października 1946 r. W rodzinnych dokumentach znalazłem pozwolenie na ślub od dowódcy ojca (sic!), laurkę dla młodej pary od 411 RSU, nazwisko wojskowego kapelana ks. Kończewskiego, który udzielał ślubu. Kiedyś ojciec aż podskoczył, bo w czasie wyławiania w latach 60., spomiędzy szumów i buczenia, słów z Radia Wolnej Europy, nagle odezwał się stamtąd ów kapelan, fot.

arch rodzinne.
*

Lecz o tym dowiedziałem się w roku 1997, w Toronto, gdy ojciec już nie żył. Nie był skory do zwierzeń. Pamiętam go z okresu lat 50. i 60., raczej ponurego, zamkniętego w sobie pracoholika i człowieka nadużywającego alkoholu. Kiedy coś mi nagle oznajmiał, było to z reguły spóźnione o lat parędziesiąt – adres mojej matki chrzestnej mieszkającej w USA lub kilkanaście – dokument brytyjski, który mnie upoważniał do otrzymania obywatelstwa Wlk. Brytanii, do szesnastego roku życia. Wręczył mi go, niemal uroczyście, gdy miałem lat 19. Marzyłem o wyrwaniu się z komuny. Coś się zamknęło, nim zdołało się otworzyć.

We wspomnianym roku 1997, w dwa lata po śmierci ojca, zabrałem mego małego syna, Lukasa, który dziadka znał tylko ze zdjęć i mych opowieści, na spotkanie polskich lotników w Toronto, żeby chociaż miał jakieś wyobrażenie o postaci dziadka i o tym – jak o nich się mówi – „stalowym pokoleniu”. Kiedy siedzieliśmy z kilkoma byłymi pilotami przy stole, Luka pochylił się ku mnie i zapytał szeptem „Tato, ile oni mają lat?”. Wtedy głośno, wszystkim przy naszym stole, powiedziałem o co mnie zapytał i poprosiłem, aby mu wyznali swój wiek. I się zaczęło… 82, 81, 86, 85, i jeden młodzian – 79.

Podczas spotkania dowiedziałem się od kolegi ojca; natychmiast, gdy się przedstawiłem, rzekł: „Ach syn Franka, dobrze go pamiętam”, o jego okupacyjnym stanowisku. Patrząc na ludzi przy stole, potem nie raz spotykając w Toronto innych polskich pilotów lub członków załóg bombowych, wyraźnie widziałem różnicę w wyglądzie mego ojca a tych ludzi, żyjących od lat w Kanadzie. Wszystko jest wypisane w postawie ciała, w stylu bycia, przede wszystkim w wyrazie twarzy. Tam się odbija spełnienie, poczucie wolności i satysfakcji z życiowych osiągnięć. Świadomość szacunku otoczenia, uznania dla wojennych zasług, W miarę spokojne życie wśród na ogół życzliwych i miłych ludzi. Takich, do których wychodzi się na przeciw bez wahania, z automatycznym kredytem zaufania. Takich, z którymi można się wspólnie bawić, nie rozstając się z okresowym używaniem alkoholu. Lecz wiedząc, że my nim rządzimy, a nie on nami, stając się złudnym lekarstwem „na problemy” i „przeklęte życie”.

Ojciec był na twarzy zniszczony, przedwcześnie postarzały, często zgaszony. I niemal zawsze było w nim jakieś napięcie. Jego brak pierwszy raz odkryłem w szpitalnej kostnicy, w Gdyni, gdy poprosiłem, aby nas zostawiono na chwilę samych. Uderzyło mnie to tym bardziej, że obok leżała kobieta, która miała niesamowity wyraz przerażenia na twarzy. Jakby zaciekle i z rozpaczą broniła się przed odejściem. Twarz ojca była całkowicie pogodna, uszło z niego owo długotrwałe napięcie. Może dlatego nie wstrząsnęło mną aż tak bardzo, kamienne zmrożenie jego

ręki, gdy ją dotknąłem.

Lotnisko Northolt, grudzień 1942. Ojciec czwarty od lewej, fot. arch. rodzinne

Relacje mieliśmy bardzo trudne i trudne. Kiedy po 13 latach mogłem wreszcie przyjechać bez obaw do Polski, spotkałem się z nim po raz pierwszy od 15 lat. Cieniem na naszych stosunkach leżał jego alkoholizm, z którym starannie krył się przed rodziną matki. Zresztą tak samo postępowała ona i ja, bo nam po prostu było wstyd. Czasami zdarzały mu się wpadki, lecz w tym kraju, który jak nie w sporej części pijany, to na rauszu lub na kacu,

powszechną tendencją było skrywanie lub wypieranie problemu. Z kolei na swoją rodzinę znalazł inny sposób – niemal w ogóle się z nią nie kontaktował. Okazją do spotkań były najczęściej pogrzeby jego licznego, starszego rodzeństwa – trzy siostry i trzech braci.

Alkohol zmieniał jego osobowość, pogłębiał pewną słabość charakteru, bo w innych przypadkach potrafił być niesłychanie twardy i stanowczy. Był pracowity, zasadniczy, co przechodziło nie raz w nieznośny pedantyzm. Był skrajnie uczciwy i często bezradny wobec rzeczywistości PRL-u. Mało wiedziałem o jego przeszłości, przede wszystkim przedwojennej i wojennej. Jak pamiętam, bardziej zbierało mu się na zwierzenia po wódce, lecz wtedy często był pełen agresji i pretensji, czasami zarzucając mi „Co ty wiesz o życiu, szczeniaku? Prawie wszyscy moi koledzy zginęli!”.

Jednocześnie, w miarę upływu lat znaczonych nadużywaniem alkoholu, który nie tylko nadszarpywał jego zdrowie, ale pustoszył umysł, w tych pijanych porywach, opowiadał niekiedy o wojennych wyczynach, swoich lub innych osób z naszej rodziny, które potem okazywały się połowicznie prawdziwe lub całkowicie zmyślone. Te korekty dotarły do mnie w ostatnich latach, na rodzinnych spotkaniach, głównie osób z jego rodziny. Jednakże w stosunku do wielu innych dorosłych, których poznałem w czasach licealnych i na studiach, był w swych podpompowanych

opowieściach raczej umiarkowany.

I zapewne to nie tylko polska cecha, tak genialnie uchwycona w piosence Młynarskiego „W Polskę idziemy”, której ojciec oczywiście nie znosił. Bo na przykład w książce Annie Ernaux „Lata” znalazłem taki passus: „W ustach pięćdziesięciolatków i osób starszych wspomnienie wojny sprowadzało się do osobistych anegdot, pełnych czczych przechwałek, które ludziom przed trzydziestką wydawały się ględzeniem”.

Obie rodziny – mamy i ojca – z licznymi dalszymi powiązaniami, miały niezwykłe szczęście w okresie wojny. Poza rodzicami, parenaście innych osób było czynnie zaangażowanych w ruch oporu i działania wojenne. Wszyscy wojnę przeżyli, co było głównym powodem decyzji rodziców o powrocie do Polski. Dopiero, gdy byłem na pierwszym roku studiów, w tajemnicy dowiedziałem się, że zginęła tylko jedna osoba – drugi mąż siostry mego dziadka, dr. Karol Potrzobowski. Ale w jakże tragicznym miejscu. W Katyniu.

Mama w czerwcu 1945, w wymarzonym Paryżu. Po powrocie do Polski świat dla niej, jak i dla ojca, się zamknął, fot. arch. rodzinne

*

Miałbym ochotę napisać teraz obszerny list do ojca. Napisałem przedtem dwa takie listy (reszta to były kartki ze świątecznymi życzeniami, szczególnie po wyjeździe z Polski): pierwszy w czerwcu 1984 roku, w trzy miesiące po przyjeździe do Kanady, kiedy oglądałem w lokalnej telewizji obchody uroczystości 40

rocznicy lądowania w Normandii. Zauważyłem tam polskich kombatantów, w tym z Kanady i nagle poczułem gorycz, może podobną do tej jaką czuł ojciec, stojąc na chodniku w Londynie i z zaciśniętymi szczękami oglądając paradę zwycięstwa, bez udziału polskich żołnierzy.

Kiedy pierwszy raz mi o tym powiedział, smutny i podenerwowany, był rok 1956, gdy rodzice zaczęli w miarę otwarcie opowiadać o wojennych przeżyciach. W miarę, bo czuli, że odwilż jest pozorna, krótkim epizodem tak sterowanym, aby władza się nie wymknęła i została nienaruszona. Już nie mieli złudzeń. Dla mnie opowieść o tym jak nas potraktowali w paradzie zwycięstwa, była pierwszą rysą w mitycznym monolicie Zachodu, oglądanym z daleka, wyławianym spomiędzy zagłuszeń w Radio Londyn i RWE i w podsłuchiwanych rozmowach dorosłych, którzy „tam byli, kiedyś tam pojechali".

W 1984 roku ojciec był jedynym, żyjącym jeszcze uczestnikiem D-Day na Wybrzeżu, i jednym z nielicznych w Polsce. Od dziesięcioleci odmawiał udziału w zniewoleniu Polski, choć jak większość z nas w okresie PRL, wplątany był w różne układy. W jego przypadku, głównie poprzez współbiesiadowanie, obficie podlewane alkoholem w licznych knajpach w Trójmieście z różnymi, aczkolwiek pomniejszymi przedstawicielami władzy. Jednakże dalej wpływowymi. Latem 1968 roku, gdy korespondowałem z przyjaciółką wygnaną do Izraela przez

ludowe państwo i antysemickie drańskwa, ostrzeżono go żeby mnie przekonał do zerwania korespondencji, bo już mi się przyglądają. Kiedy odmówiono mi w 1973 roku paszportu, przez kogoś załatwił, że po miesiącu paszport wydano.

Ale nikt nie zamierzał go zaprosić, tak jak jakichkolwiek przedstawicieli PRL, na obchody do Normandii, bo ledwie rok przedtem odwołano stan wojenny, „Solidarność" była zdelegalizowana, a solidarność ludzka nieustannie erodowana i tłumiona. Rozżalony za niego, z buzującym we mnie uczuciem wściekłości, napisałem ów obszerny list, podkreślając, że przez cały okres, po powrocie do Polski, traktowano go jak zdrajcę, a w najlepszym przypadku jako faceta obciążonego życiową pomyłką, bo znalazł się w czasie wojny na Zachodzie.

Wizyta gen. W. Sikorskiego, 1942 lub 1943 r. Tam było jeszcze jedno zdjęcie, które zobaczyłem w wieku kilkunastu lat. Nie wiem, gdzie owo zdjęcie się zapodziało i nie pamiętam nazwiska dekorowanego bohatera, krzyżem Virtuti Militari, przez gen. Sikorskiego. Ów młody człowiek miał pusty, lewy rękaw przyczepiony do munduru – stracił rękę po powietrznym pojedynku. Największym szokiem dla mnie nie była jego młodość, bo wtedy jeszcze tego nie rozumiałem, ale jego uśmiech – smutno-szczęśliwy i wręcz zawadiacki pod czarnym wąsem. To najbardziej mną wstrząsnęło, że można się uśmiechać z takim

okaleczeniem, fot. arch. rodzinne
Porządkując w zeszłym roku dokumenty po nim, znalazłem dwie legitymacje i medale, którymi wojskowa junta Jaruzelskiego obdarzała wiekowych kombatantów, próbując ich tym sposobem zjednać, co było dla mnie równoznaczne z ochłapem rzuconym po latach. O ironio! w miesiąc po uroczystościach 40-lecia D-Day, dano ojcu „Medal za udział w wojnie obronnej 1939”; potem w kwietniu 1985 „Medal Zwycięstwa i Wolności”, co odczułem jako nieprawdopodobną kpinę z niego. Dopiero, wręczony mu w czerwcu 1990 roku, „Krzyż czynu bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie” uznałem za satysfakcjonujący.

To, że owe „jaruzelskie” odznaczenia przyjął, było dla mnie tak szokujące, jak zdarzenie z roku 1977, gdy przyszedłem do niego po poradę. Zostałem mianowany prezesem Klubu Studentów Wybrzeża „Żak” i po miesiącu młodzi towarzysze zaczęli naciskać na mnie bym wstąpił do PZPR, no bo jakże – na kierowniczym stanowisku i bezpartyjny. Moi współpracownicy uważali, że powinienem zapisać się (dla wielu była spora różnica między wstąpieniem a zapisaniem, zapisanie miało formę łagodniejszą, wręcz usprawiedliwiało). Obawiali się, że mnie wtedy ze stanowiska odsuną i wszystkie nasze ambitne plany, włącznie ze zlikwidowaniem rozległej korupcji w klubie i Zarządzie SZSP, wezmą w łeb. Ostatecznie udałem się po poradę do zasłużonego antykomunisty – mego ojca, tym bardziej, że wspólnie z matką w takim duchu mnie wychowali.

Akurat trafiłem na jego moment nieco zbolały, bo męczył go poranny kac. Pytałem, co mam uczynić i odrzekł „Wiesz, zapisz się, bo nie dasz rady zrobić tego co chcesz. Ja przegrałem życie, a nie chciałbym, abyś ty zmarnował swoje". Byłem w szoku. Wypaliliśmy kolejnego papierosa niemal milcząc. Pożegnałem go i z tymi słowami, dziobiącymi wprost mój mózg „przegrałem swoje życie", wyszedłem z naszego rodzinnego mieszkania. Idąc wzdłuż ściany domu tłukłem się z myślami. Jak to – przegrał i skłania mnie do tego samego? Bo przecież przystąpienie do tych skorumpowanych drani, to sprzeniewierzenie się wszystkim poprzednim latom. Wszystkim odczuciom i pragnieniom. Buntom i anarchicznym odruchom. Zdradą wielu przyjaciół i kolegów. I kiedy doszedłem do ulicy, nagle stanąłem i powiedziałem na cały głos „A taki wał". I zostałem pierwszym, bezpartyjnym prezesem „Żaka" w jego dziejach. Utrącili mnie po dziewięciu miesiącach.

Drugi list był natomiast wypełniony moją opanowaną i zimną złością, na bite dziesięć stron, na których podsumowałem nasze relacje i przede wszystkim co przeszła z nim matka. Powodem był jego krytyczny i krótki list, z racji kolejnego rozpadu mego związku, wraz ze stwierdzeniem, że „w naszej rodzinie nie było i nie ma rozwodów". Zapomniał lub nie chciał pamiętać, że mama podała go do sądu o rozwód. W parę miesiecy po pierwszej rozprawie zachorowała na raka, on wtedy wrócił i się nią opiekował aż do jej śmierci. Ten jego odruch złożył się na moje przebaczenie, lecz po napisaniu „Kochany Tato!", zaraz dodałem,

że go nie lubiłem. Napisałem również, że wiele przez niego wycierpiałem i to mu też przebaczam. I że jak nie było rozwodów w naszej rodzinie, ktoś musi wreszcie zacząć, by nie kontynuować życia w stresującym uwikłaniu i bezmyślnie się poświęcać. Czasem, z zewnątrz można dokonać więcej dobrego, niż tkwiąc w toksycznym związku.

Ojciec w swojej jednostce inwazyjnej w głębi Francji. Stoi u góry, po prawej. Ma na sobie kurtkę *battle dress*, której kolor, strukturę i zapach jeszcze pamiętam. Wisiała w wielkiej, sopockiej szafie latami i po cichu ją oglądałem, a nawet przymierzałem przed lustrem. Była też kamizelka skórzana, bez rękawów, którą piloci zakładali jako ocieplacz pod mundur. Gdy kończyłem pierwsze studia, krawiec dorobił do niej ciemnozielone rękawy i paradowałem cały dumny w tej kurtce,

którą wiele osób podziwiało. *Battle dress* zżarły mole, skórę pożyczyłem kumplowi z Lublina, w 1973 roku, na jego dojazd do domu i więcej jej nie widziałem. Tym bardziej, że Wojtek Ł., w parę miesięcy później, popełnił samobójstwo. Nieszczęśliwa miłość plus alkohol…, fot. arch. rodzinne
*

W parę lat później, gdy się pierwszy raz od lat spotkaliśmy w naszym sopockim mieszkaniu, w ostatnim dniu przed wyjazdem do Warszawy i powrotnym lotem do Toronto, kiedy się pakowałem, nagle rzekł: „Wiesz, w tamtym liście, który napisałeś, nie wszystko było tak jak podałeś". Spojrzałem na niego i łagodnym głosem zapytałem „Tato, czy warto teraz do tego wracać?" I wtedy po raz pierwszy i ostatni w mym życiu, bo w rok później już nie żył, usłyszałem: „Masz rację!".

Rozegrała się wtedy jeszcze jedna, bardzo ważna dla mnie scena. Zapytał „Gdy mieszkałeś w Berlinie, miałeś niemieckich przyjaciół, kolegów?". Na chwilę zaniemówiłem, bo od razu skojarzyłem sobie, że przecież walczył z Niemcami, że zginęło tak wielu jego kolegów i tyle przez wojnę wycierpiał. Dla mnie, człowieka z pokolenia powojennego, w dodatku niemal pacyfisty, o co się także z ojcem przedtem ścierałem, zarzucając mu, że ma nawyki z wojska, Niemiec był po prostu człowiekiem. Tym bardziej, ten z mego pokolenia lub młodszy. Wiedziałem i pamiętałem, lecz czułem, że jest czas budowania pomostów, tym

bardziej, że po wprowadzeniu stanu wojennego, Niemcy tak znacznie Polakom pomagali – w Berlinie i w Polsce. Postanowiłem mu powiedzieć prawdę – „Tak, miałem sporo kolegów i jednego przyjaciela". A on rzekł: „To bardzo dobrze".

*

W bardzo interesującej książce brytyjskich naukowców o płci mózgu, odkryłem, że mam kobiecy mózg i dowiedziałem się, że pokolenia powojenne, z roczników 40-tych, mają w sobie, jakby genetycznie, antywojenne echo po traumatycznych przeżyciach rodziców. Kiedy nadeszła fascynacja muzyką rockową, której ku memu zdziwieniu i radości zarazem, ojciec nie potępiał (tak jak moich długich włosów) i nawet znosił wysłuchiwanie w nocy listy przebojów Radia Luksemburg, te pacyfistyczne nastroje uległy we mnie wzmocnieniu, kumulując się w okresie wojny w Wietnamie. I nieważne teraz, na ile wtedy byłem młody i naiwny, pełen dobrych chęci, zarazem z rodzącym się buntem i wyrywaniem ku konkretnemu działaniu PRZECIW. W każdym przejawie – od prób bycia za wszelką cenę przyzwoitym, poprzez demonstracyjne chodzenie co niedziela do kościoła, do nieśmiałego jeszcze poparcia marca 68, przypadkowego uczestnictwa w grudniu 70 i skumulowanego, otwartego buntu w sierpniu 80, gdy znalazłem się w Stoczni.

Byłem niemal całkowicie przekonany do słów angielskiego

piosenkarza Donovan'a: „Wierzę w to, że jesteśmy pokoleniem błogosławionym". Odczytywałem owe słowa jako sprzeciw wobec wojny i przemocy, włącznie z tym co się działo w PRL-u. Z każdym upływającym rokiem, mieszkając w Polsce, potem w Berlinie Zachodnim i w Kanadzie, dodatkowo przemieszkując w ostatnich latach w Argentynie, tkwiło we mnie do niedawna owo przekonanie o błogosławieństwie pokoleniowym, bo poza wojną na Bałkanach, traktowaną jako epizodyczny wybryk, „nasz świat" wydawał się spokojny i dążący ku porozumieniu.

Pierwsze zachwianie/zwątpienie wprowadził we mnie, w roku 1992, uwielbiany Leonard Cohen, przejmującym, doskonałym albumem „*The Future*". Byłem wstrząśnięty jego wizją, poruszony i wręcz zirytowany, że wokół tak wszystko dobrze się toczy, a tu Leonard śpiewa: „ Zwróć mi Mur Berliński, zwróć Stalina i św. Pawła, widzę, Bracie, że przyszłość jest mordercą". I często powtarzane w refrenie, w sensie wręcz teologicznym, słowo – *repent* („żałuj za grzechy")

W siedem lat później, leningradzki żul, Putin, przechwycił władzę, a trzy lata temu rozpętał krwawą wojnę na Ukrainie, niszcząc moje marzenie, że odejdę z tego świata bez wojny. Że jednak będę tym błogosławionym pokoleniem, optującym za Unią Europejską i światową współpracą. Tymczasem w ostatnim dziesięcioleciu wykwitły całe zastępy przygłupich drani o gangsterskiej mentalności. Zakwitli na zagonach demokracji!

Spragnieni nieograniczonej władzy, bezczelnie zakłamani manipulatorzy, w wielu miejscach przy poparciu religijnych fanatyków. To po to mój ojciec walczył przez sześć lat z nazizmem i faszyzmem, aby teraz powstawały karykaturalne odrosty? Po to brał udział w inwazji 81 lat temu, byśmy zastanawiali się teraz nad jej sensem? Po to poległy miliony ludzi w walce o wolność i demokrację, by kolejny raz powracać do punktu wyjścia? Czuję się tak, jakby mi odebrano coś nader cennego. Szyderczo spostponowano!

Chichot historii? Czy chichot pewnego rodzaju ludzi, którzy nie są w pełni ludźmi?

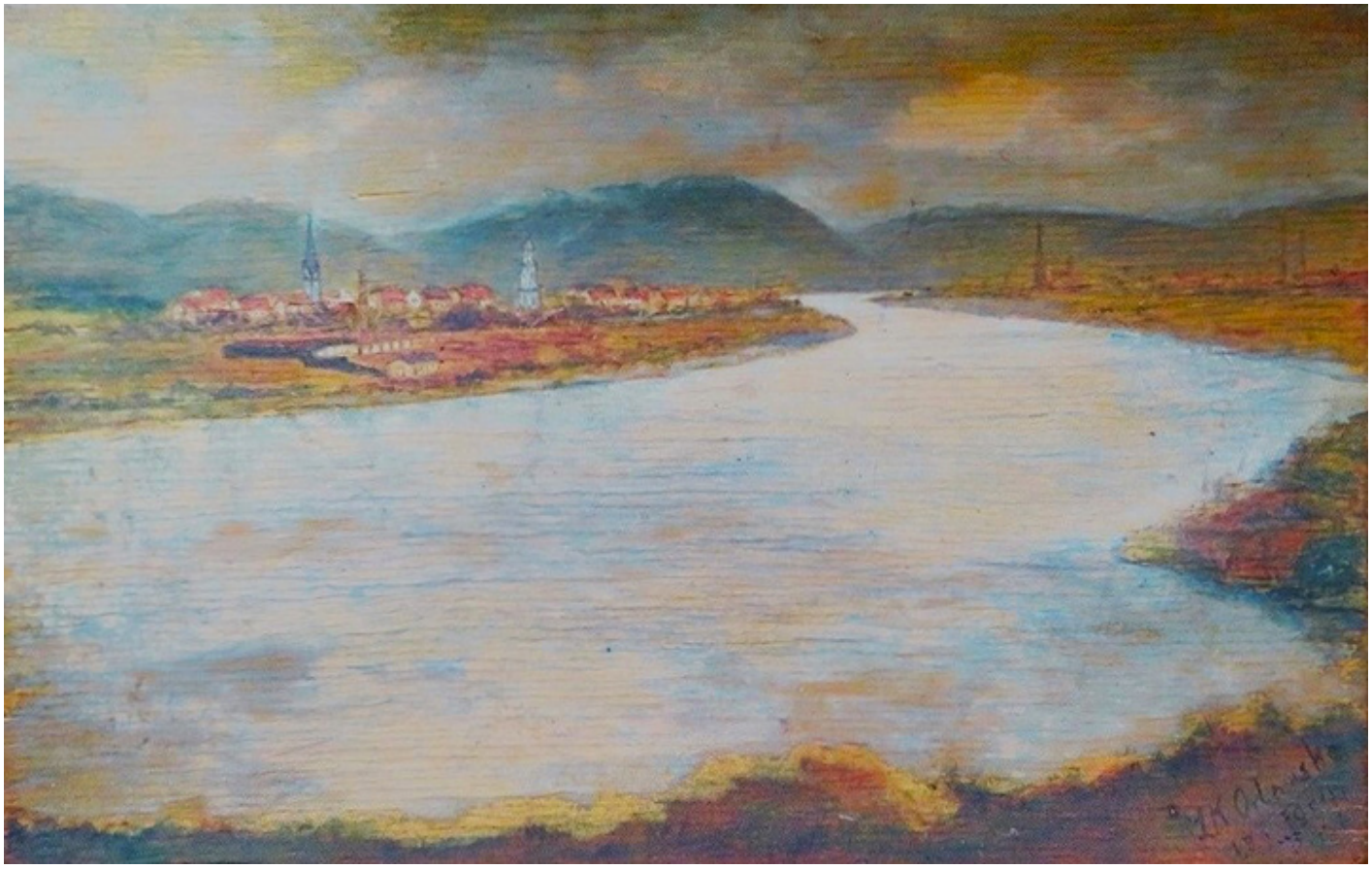

Panorama Quakenbrück namalowana przez mamę, nie wiem dokładnie, kiedy, bo data w dolnym, prawym rogu zamazana. Malowanie eliminowało stresy, których jej życie nie poskąpiło, fot. arch. rodzinne
*

Gdybym miał napisać kolejny list do ojca, napisałbym tak:

Kochany Tato!

Za parę dni będzie 81. rocznica decydującej inwazji na kontynent, w której brałeś udział. Wraz z mamą, wydawaliście mi się w sporej mierze nierealnymi postaciami z czasów Wielkiej Wojny. Przez wiele lat nie mogłem pojąć i odczuć co naprawdę przeżyliście, tym bardziej, że szczególnie Ty nie byłeś skłonny do zwierzeń. Dopiero upływ lat, odmienianych moimi doświadczeniami i przekraczaniem kolejnych progów dojrzałości, coraz bardziej odsłaniał Wasze postacie. Coraz więcej rozumiałem i znajdywałem węzłowe odniesienia, włącznie z wytłumaczeniami, a nawet usprawiedliwieniami, przebiegu Waszego życia. W tym także czasami powodów Twego picia.

Bo przede wszystkim oboje byliście przegranymi zwycięzcami tej wojny, już w momencie podjęcia decyzji powrotu do Polski, gdzie zasiedlił się komunizm, w sowieckim wydaniu. Być przegranym lub wygranym niesie klarowną sytuację, z którą można się nawet

pogodzić. Być przegranym zwycięzcą przynosi gorycz i poniżenie, których przez wiele lat w PRL doświadczaliście. Tym bardziej, że mieliście oboje moralne zasady. Choć byliście zarazem pozbawieni sztywności owych zasad, sztywności wpędzających ludzi w ekstremalne zachowania i oceny. To jakim jestem, co od Was nabyłem, co Wam zawdzięczam, czym w wielkim stopniu mnie nasyciliście, za to wszystko jestem Wam coraz bardziej wdzięczny.

Jako dzieciak nie rozumiałem Waszych traumatycznych przeżyć, do momentu, gdy w stalinowskich czasach stałem się podejrzany – bo mama w AK i Powstaniu, a Ty w polskim lotnictwie, w Anglii. Największą traumą była brutalna atmosfera w szkole oraz wyzywanie mnie od „Hitlera", z powodu mego urodzenia się w Niemczech. Nie wiedziałem jak to wytłumaczyć, jak się wybronić z owego odium, którym mnie z upodobaniem obciążano, nawet za przyzwoleniem sporej liczby nauczycieli, głównie tych z ZMP. Bo mieli do czynienia z synem wroga klasowego, ze zgniłymi i podejrzanymi inteligentami z przedwojennymi nawykami. Któregoś dnia, wreszcie zdołałem Wam to powiedzieć, choć ze wstydu zataiłem prześladowania. Po Waszej wizycie w szkole, inwektywy ustały. Lecz prześladowania i poczucie odmienności ciągnęło się za mną do końca szkoły podstawowej i początków liceum.

Zdołałem tak wiele z siebie zrzucić, otrząsnąć się pod koniec

liceum, a potem na studiach. Tak jak Wy, nie robiłem z siebie ofiary, choć przeżyłem parę mocnych stresów, podłamań i tkwień w niemal beznadziejnej sytuacji. I zdaje mi się, że tak jak Wy, zdołałem za każdym razem się odbudować, coś zyskać i być żywym, a nie tylko żyć.

Tobie Tato, też się powiodło, bo wreszcie doczekałeś się upadku komuny, bycia w pełni zwycięzcą. Zyskałeś uznanie i częściowo wewnętrzny spokój. Częściowo, bo niemal do końca nie zdołałeś się odciąć od alkoholu. Lecz od 1983 ułożyłeś sobie życie z inną, o wiele młodszą kobietą, którą poślubiłeś w dwa lata później. Gita, moja macocha, była przemiłą osobą. Porządkując rzeczy po niej odkryłem, że starannie przechowała nasze rodzinne pamiątki. Skłoniło mnie to do poszukiwań i dzięki Internetowi odnalazłem cały Twój szlak bojowy, od momentu ewakuacji z Krosna. Znalazłem nawet zdjęcia statków, i to z tamtych lat, którymi zmierzałeś z Rumunii do Libanu, potem Francji, a po jej upadku do Liverpool. I odnalazłem nazwę i zdjęcie statku, którym przypłynęliśmy do Gdańska.

Chciałbym Ci powiedzieć, że w ubiegłych latach, gdy za każdym razem po przyjeździe do Polski Gitę odwiedzałem, dość często i bez skrępowania wspominała, że mówiłeś jej, iż moja mama była największą miłością Twego życia.

Może to mnie czyni mocnym i charakternym, bo jestem

dzieckiem miłości. Z perspektywy mojej starości, do której już dotarłem, patrzę na Waszą miłość znaczoną tragicznym rysem. Przeżyć wojennych, potem lat życia w Polsce, z Twoim alkoholowym problemem i coraz większym rozjazdem wzajemnych oczekiwań i odkrywania, że na pewnych polach niezbyt do siebie pasowaliście. A w miarę upływu czasu, i kolejnych kieliszków, to się pogłębiało. Również między nami, włącznie z mocnym konfliktem, który spowodował piętnaście lat przerwy w naszych kontaktach. Nie tylko z powodu mego wyjazdu z Polski.

Pamiętam także inne Wasze opowieści, o tym jak po zakończeniu wojny zachłysnęliście się życiem, jak wspólnie z żołnierzami innych armii szaleliście w Niemczech i we Francji, a potem w Londynie.

Mama z ojcem na ulicy Merylebone w Londynie – 5 marzec, 1947, u schyłku okrutnej zimy 1946/1947, która omal nie pochłonęła mamy i mnie na statku zdążającym do Tilbury. Gdy w liceum zaprzyjaźniłem się z mamą, powiedziała mi, że na tym zdjęciu byli na „pod gazem”, po wyjściu ze spotkania z przyjaciółmi. Ale to już inne historie – zima i ich powojenne zachłystywanie się życiem. Młodym życiem, choć tak okrutnie przeoranym, fot. arch. rodzinne

Byliście tak młodymi ludźmi, brutalnie i gwałtownie doświadczeni wojną, przyspieszonym dojrzewaniem, które w bardzo wielu przypadkach wcale nie jest wskazane ani pożądane. Ten epizod był stanowczo za krótki, nawet fakt niezmiernej ulgi i szczęścia, gdy odnaleźliście ocalałe swoje rodziny i wróciliście do Polski. Któregoś dnia powiedziałeś mi, że gdy przechodziłeś ze

statku, ścieżką pomiędzy płotami, co było pierwszymi krokami na polskiej ziemi, ktoś powiedział „Trzymaj” i podał Ci butelkę wódki. Widzę to dzisiaj jako przeklęty symbol.

Być może krótkie zachłyśnięcie się wolnym życiem, skłoniło Was do tego, aby sobie urządzić w Sopocie, w naszym późniejszym, przepięknie położonym mieszkaniu na skraju lasu, niemal rok poślubny beze mnie. Mieszkałem w tym czasie u dziadków w Warszawie i wiesz, to była także dobra lekcja. Pierwsza lekcja starszych ludzi. I lekcja ich ciepłej miłości, silny związek ocalony z zawieruchy dwóch wojen. Najważniejsze, że dziś już wiem, iż dojrzewanie w relacjach ojciec-syn przebiega w obie strony, co widzę po swoim synu. Trzeba dojrzeć do ojca, ale ojciec musi także dojrzeć do syna. Wtedy zaczyna się przyjaźń i wzajemne zrozumienie.

*

Franciszek Kasprzyk (12.06.1921 – 2.07.1995)

Stopień wojskowy**:** sierżant; Nr służbowy: 784879 R C Kasprzyk F. RFA

Szlak wojenny:

1939 – obrona Krosna, internowanie w Rumunii (obóz w Ramnicu Sarat), ucieczka do Bukaresztu, pobyt w Balcic (obecnie Bałaczik w Bułgarii). Statkiem do Bejrutu i Marsylii

1940 – Lyon. Lotnisko Bron w polskiej formacji lotniczej, po

upadku Francji do Liverpool jako mechanik w polskim dywizjonie 308 (Blackpool, Coventry)

1941 – Brygadzista-mechanik w warsztatach dywizjonu 308. Coventry; roczna Szkoła Techniczna Silników Spalinowych przy zakładach Roll Royce'a w Derby.

1942 – powrót do 308. Lotnisko Northolt

1943 – 1946 -przeniesienie do nowo organizowanej polskiej jednostki lotniczej 411 RSU (*Repair and Salvage Unit* – Jednostka Naprawy i Ratownictwa), przeznaczonej do udziału w Inwazji. Czteromiesięczne szkolenie w Slough k/Londynu, przygotowanie do inwazji na kontynent w składzie 84 grupy. Inspektor wypadków lotniczych oraz d-ca samodzielnej sekcji technicznej.

17 lipca 1944 roku w grupie uderzeniowej na kontynent – zajmowanie i przygotowywanie lotnisk dla aliantów, kilkuosobowa załoga z wyposażeniem (wielka ciężarówka z narzędziami, m.in. betoniarki, dźwigi samojezdne, itp.). Z Normandii przez Belgię i Niderlandię do Niemiec (lipiec 1944 – maj 1945).

Vice komendant miasteczka Quakenbrück w Niemczech (maj 1945 – grudzień 1946). Przeniesienie jednostki 411 RSU do

Anglii, demobilizacja – grudzień 1946

1947 – 18 maj powrót do Polski

Odznaczenia ojca: dwa razy Medal Lotniczy PSP Anglia, Odznaka Bojowa 308 Krakowskiego Dywizjonu Myśliwskiego, 1939/1945 Star, France and Germany Star, Defence Medal, War Medal – RAF Anglia, Croix des Combattants Volountaries – Francja, Medal za udział w wojnie obronnej 1939, Medal Zwycięstwa i Wolności, Krzyż czynu bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, Krzyż Kampanii wrześniowej 1939 – nadany w Londynie, w sierpniu 1985 roku.